№ 28. 13. Lipca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: **„Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Z dniem 1 Lipca zaczyna się nowy kwartał; upraszamy szan. Czytelników, jeżeli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu Tygodnika, aby przedpłatę rychło zaliczyć raczyli.

Cieszymy się nadzieją, że wzgląd na położenie narodowości usprawiedliwiło to odezwanie się do sumienia obywatelskiego ziomków naszych, aby nam byli pomocni na drodze piśmiennictwa.

Możemy się poszczycić, iż ci którzy są w stanie własną pracą wspierać pismiennictwo, z prawdziwém poświęceniem na prożby nasze odpowiedzieli. Mamy przyrzeczony udział niektórych najznakomitszych w zawodzie pięknej literatury i krytyki pisarzy krajowych, jakoto: *Leszka Dunina Borkowskiego K. Ujejskiego*, *Władysława Zawadzkiego, Zygmunta Kaczkowskiego* i innych. Mając związk z Krakowem i z za granicą zapewnieni jesteśmy i ztamtąd niemałej pomocy.

Spodziewamy się, że służby nasze niesione sprawie narodowej takim sposobem, iż nam nawet najostrzejszy rząd w drodze stanąć nie może, iż wytrwanie nasze w najtrudniejszém położeniu, i odwaga literacka w obec największych przeszkód, znajdzie uznanie w publiczności, i że ta naszemu obywatelskiemu poświęceniu zechce odpowiedzieć równąż gorliwością obywatelską, i zechce korzystać z ofiar które jej nawet najznakomitsi z naszych literatów w tém piśmie niosą.

Ogłaszając nową przedpłatę na kwartał trzeci lub też na półrocze i zapraszając do takowej przypominamy jeszcze, że prócz Tygodnika niema polskiego pisma, któreby z taką taniością wartość literacką łączyło.

I. Janin i M. Czajkowski.

(*M. Jełowickiego.*)

(Dokończenie.)

Całe to życie niefrasujące się jutrem, pół bohaterskie, pół dzikie, jak na dłoni pisarz natchniony pokazał. I jak skoro po sobie mijały wypadki, tak i on je tym samym obyczajem opisał. Dzielny Konaszewicz zrzekł się Attamaństwa; opuścił Sicze i osiadł w Monastyrze Kijowskim. Nikt nie wié co się znim stało: jeden tylko wierny Assawuła znał Sahajdacznego schronienie. Boródko, nowy Attaman, knuł zdradę przeciw Kozaczyznie. Sahajdaczny słowa nie wyrzekł, siadł na koń, ruszył stepem do Kaniowa; wszedł do izby Attamana, i po chwili wyszedł; twarz jego była spokojna, czoło pogodne; w oku ani śladu walki namiętnego uczucia; tylko po pochwie stalowej kindzała, czarna krew gęstemi ściekała kroplami. Któżby Sahajdacznego posądził o zawiść? lub zemstę!... To nie Giaur, pod tego czerńca habitem nie było ani cierpiącej dumy, ani serca zwiędłego rozpaczą.

Nie mogę wtem miejscu nie wytknąć tego wielkiego daru, którym się z obcych wzorów przejąć nie podobna, jak to jednem słowem, jednem skinieniem osoby na scenie będącej autor uwiadamia czytelnika o tem wszystkiem, co w duszy aktora poprzedziło chwilę opisaną; jakie w niej były uczucia zasiadły, jakie się walki toczyły? Kiedy przed rzezią humańską Gontę witają dzieci jego chrzesne, a Młodanowicz go pyta: czy własnych synów widzieć nie zechce? .... Gonta odpowiada: „będzie czas na wszystko.” Kiedy Zaporożce weszli na dziedziniec i wołają: „Ojcze Attamanie! pohulajmy! ta już czas.” Gonta odpowiada ponuro: „Poczekajcie trochę.” Wszystkim przytomnym mróz po kościach przebiega. — Zaporożcy dzikszym głosem wołają: „Ojcze Attamanie! pohulajmy! ta już czas.” Błahoczynny spoziera nań groźnie — hajdamacy wrzeszczą „hulajmy! już czas.“ W tem Młodanowicz przyprowadza dwóch synków Gonty. Dzieci biegną do ojca, wołając: Tatu! Tatu! Gonta pobladł... zatrząsł się ... porwał za spisę, i pchnął.. starszy chłopczyk wrzasnął i padł na ziemię:

Attaman wyrwał spisę, pchnął drugi raz, i młodszego syna w górę wyrzucił: potem spisą cisnął o ziemię i zawołał: „Teraz hulajcie!“

Ileż tam walki serdecznych uczuć z dumą i zemstą! Iaki rozbrat z duszą! a przecież słowem go nie zdradził, tylko to pchnięcie spisą powiedziało wszystkie boleści jego, wszystkie męczarnie bez nazwy, wszystkie wahania, wszystkie szamotania się z sobą. Sahajdacznego nikt mężobójcą nie nazwie; Goncie, mimo wstrętu, nikt bohaterskiego hartu nie zaprzeczy: żaden się z nich z uczuć swoich nie spowiadał: jeden mach, jedno cięcie objawiło wszystko.

Poeta przeczuł kozaka; niebo, ziemię, wody, okiem jego ujrzał; wojenną sławę, rozkosze życia, sercem jego pokochał. Zapewne, nie każdemu byłoby do twarzy, użyć: „Doniu moja, Doniu! nieszczęśliważ teraz moja dola!“ bo to wyrazy prostacze; cóż! kiedy łzy prostacze cisną się mimowolnie do oczu.

W powieściach kozackich, w Wernyhorze, najmniejszéj pracy niema w opowiadaniu. Układ prościuteńki, bez żadnych kryjówek autorskich, i wszystko idzie jak z kłębka. Co autor zapamiętał o dziełach kozaczych; o tym Wernyhorze....... co o hajdamactwie zasłyszał, to opowiedział teraz mową bujną i dźwięczną, bo w każdem słowie tętniło uczucie: bo mu odżyła piękna Ukraina z całym przyborem wspomnień dumnych, krasnych; teskliwych.... A czyjaż dusza lepiej uświęci pamiątki, jak pamiątkami żyjąca?... Nie ma miejsca takiego na ziemi rodzinnej, gdzieby coś z dawnych czasów nie przylęgło! Tu mogiła kryjąca nieznajome kości, co kiedyś deptały tę ziemię: tu rzeczka, taż sama co od wieków; wijąca się po błoniu, jak niegdyś.... jak przed laty... tu przy rostajnych drogach, leżą szczątki spruchniałej figury; a drugą na jej miejscu stojącą, i już pochyloną ku ziemi, mech pokrył hieroglifami... zrozumiałemi duszy. Każde uroczysko ma swoją tajemnicę: — tysiączne wieści zaludniają zmarłemi miejsca, po których ślad ludzki zaginął. Duch pokoleń znikłych rosą zstępuje, wiatrem owiewa ziemię prawnuczą. Każde jego tchnienie rozlewa się melodją słodką, tęskną i przerywaną, jak westchnienia arfy Eola. On jęczy po zwaliskach starożytnych gmachów, szumi po barczystych konarach lasów. Ta mowa tajemnicza szepcze każdemu sercu uroczne, ale niepowiązane strofy, niewyraźne, migające jak cień powietrznego ptaka. Któż nie doznał lubego marzenia? kto się nie zatopił w dumaniu, kołysany tém spiewem ziemi ojczystej, jak arfa Dawida uśmierzającej bóle! Lecz trzeba ręki Dawida, aby z niej pełną, wszędzie i wszystkim pojętą pieśń wyprowadzić. Potrzeba duszy, zdolnej żywiołem własnym zespolić, ożywić, te snujące się czucia, z których marzeniu dosyć... sercu za mało jeszcze.

Kto skarb ten rodzinny w piersiach swych wyżywił; kto z niego, jak matka z niemowlęcia słowa ojczyste wydobył; kto z uczuć, jakie mu ziemia pradziadów wionęła, duszę pochwycił, i wskrzesił nią ciała, które ta ziemia karmiła; ten Stwórca. O toż dlaczego Czajkowski jest typem, dzieło jego może być niespełna, ale nikt po nie posiągnąć nie może, i prawda, którą duszą pojął, (bo inaczejby tworu swego nie ożywił,) wiecznie prawdą zostanie.

Takim był Ossian; (czy Macpherson) takim Walter Skott; takim Czajkowski. Dusza ich weszła w tak ścisły związek z duszą ziemi rodzinnéj, iż w jedność z nią się splotła. Nie dokaże tego *stultum imitatorum pecus*. Kto w źródle samém nie czerpał natchnienia, i bogatych nabytków zdrowém nie zapłodnił uczuciem, ten naprożno łudzić zechce formą, zabraknie mu zawsze głównego warunku: — życia.

Mówiłem o panu J. Janin. Paweł Lacroie, ów mniemany bibliofil, jak mól ze starych nie wyłazi szpargałów: jest że tam stara Francja? bynajmniej, są stare łachmany, stare wyrazy, lecz dusza autora nic nie odgadła, nie wcieliła się nigdzie.

Nie tak się dzieje z istotnymi twórcami. Jak matka, do życia dziecka ze swojej własnej domiesza coś istoty, tak twórca pisarz, musi coś z siebie dać na życie dziecka. Ztąd jego rzeźkość, lub rozwaga, bujność moralna lub też uczynkowa. Pochmurne niebo hebrydów, inaczej zapewne przejmowało Barda, jak złote słońce Ukrainy, ryczałtem ciskające promienie przed okiem stepewego orła. Każdy z nich zatem rzecz swoję po swojemu urządził. I właśnie dlatego, jakem powiedział z góry, żadnego samorodnego tworu mierzyć nie podobna na miarę powszechną. Wady nawet same, (a tych Cz... ma pod dostatkiem;) te wady mówię, którychbyśmy nie pobłażyli innemu tak są z naturą jego zgodne, że bez nich przymiot mniejszaby miał zasługę.

Nie myślę czytelnika nudzić drobiazgami. Rzuciłem rys ogólny dla odznaczenia całości, szczegółów z niego odzywać nie chcę.

Wszakże przyrzekłem parę słów jeszcze o *Stefanie Czarnieckim* powiedzieć.

Romans ten całkiem na tle historycznym utkany, nie małej jest wartości. Autor nie ograniczył się powierzchowną wiedzą rzeczy krajowych; kreśląc chwilowe ojczyzny przygody, nie poprzestał na samem przedstawieniu osób i wydarzeń: szukał on, i znalazł iszotne jądro narodowej siły; w dawnym zakresie czasu przetrząsł wszystkie żywioły towarzystwa; opatrzył co do jednej i sumiennie ocenił każdą łatorośl krajowego szczepu; każdej dziedziczne przywary i dziedziczne cnoty na jaw wyprowadził: i wspólnego życia badając tajemnicę doszedł tej prawdy: że uległość władzy najwyzszej w pobożnym duchu pojęta, a czynem podana

za przykład, choćby największe trudności pokona. Zgoła to pismo, na wielką miarę pojęte, wielkiej też godne pochwały. Szkoda jest tylko, iż w zaplontaniu intrygi Czajkowski nie szedł tu jedynie za własnem nadchnieniem. Zdaje się w tym romansie przebija gust szkockiego mistrza. Wzór to nieladajaki; przecież jak u Skotta, tak tutaj wolelibyśmy układ prościejszy cokolwiek.

Z wydanych pism Cz... *Stefan Czarniecki* jest prawie ostatnim. Niech mi się godni kończąc to pismo, o grzech jedyny obwinić Czajkowskiego: dlaczego pisać przestał?

Krótki rys czynności Towarzystwa naukowéj pomocy w Krakowie.

(Ciąg dalszy.)

Pod dawną nazwą »Towarzystwa Naukowej pomocy« przyjęło grono nasze zupełnie nowe urządzenie administracyjne, obmyśliło źródła funduszów i inne tego rodzaju przedsiewzięło czynności, że zaś dokładną znajomość mechanizmu tego poznać mozna z tytułów i paragrafów drukowanego statutu, tam więc czytelników odsyłam. (*)

Głęboki i pełen szlachetności pomysł zakładania szkółek niedzielnych nie mógł być obojętnym towarzystwu, które jak to już wyżej mówiliśmy rozszerzyło zakres swoich działań, wywierając wpływ na okrąg miasta Krakowa i bliższe Galicyjskie cyrkuły. Towarzystwo zatém zbadawszy smutny stan oświaty kmiotków, wezwało nauczycieli wiejskich, plebanów i właścicieli dóbr, aby przyszli w pomoc usiłowaniom jego, jakoż w krótkim czasie dokazało tyle, że w każdą niedzielę miast pijackich w karczmie hulanek rzedstawiał się oczom wędrowca widok godny czasów patryarchalnych. Pośrodku zebranej starszyzny wiejskiej, sołtys, nauczyciel, ksiądz, organista, lub wreszcie dziedzic przejęty zasadami postępu i miłości bliźniego z książką w ręku, z zapałem w zrenicy, a błogą w uściech nauką, gromadził około siebie wieś całą, wzbudzał w sercach wiarę, miłośc i nadzieję, a starzec, mąż i dziecię zalali się niekiedy łzami tęsknoty, tą rosą użyzniającą niwę serca.

Towarzystwo wdowim groszem zasilało te zakłady, przez zakupywanie wyborowych pism i książek dla ludu i szkółki takie miały wszystkich dobrze myślących z sobą: ale z powodu braku wystarczających funduszów, usiłowań nieprzyjaciół oświaty na szkodę naszą i krótkiego bytu towarzystwa, nie mogły w trzech miesiącach wydać tych owoców, jakiemi dziś przy sprzyjających okolicznościach bylibyśmy się cieszyli.

Towarzystwo narodowe polskie niepoślednią mające powagę opinji w kraju umiało cenić dobre chęci nasze i na dniu 8 Listopada 1848 r. wezwało nas, abyśmy połączyli wzajemnie swe dążności, a plebani i władze okręgowe ofiarując swoją uczynność, wraz z nami czuwali nad dobrém ogółu, nad oświatą jego i religijnością. I tak JKs. Solarski pleban w Bobrku zawezwał towarzystwo, aby zajęło się obsadzeniem próżnych posad nauczycielskich w Gromcu i Gorzowie w dystrykcie Jaworzno, kommissarjat Balicki Trzebiński, Chrzanowski i inne, nieszczędziły prac, starań i dozoru nad postępem wykształcenia chłopków, nadsyłając w szczególnych zdarzeniach najdokładniejsze sprawozdania. (d. c. n.)

(*) Wszelako aby i ci, którym statut ten w ręce się nie dostał, mogli o wewnętrznem urządzeniu naszém mieć wyobrażenie, umieszczamy treść jego:

Towarzystwo naukowej pomocy ma za cel rozszerzanie oświaty w całym narodzie polskim i działalność jego na całą ziemię Polską się rozciąga: w zakres jego wchodzi zakładanie szkół początkowych i pośrednich, czuwanie nad moralnością ludu, rozwijanie jego pojęć politycznych reforma Izraelitów i wykorzenianie ich przesądów. Dalej kształcenie się wzajemne przez czytanie dzieł, prace własne i krytyczny ich rozbiór, równie jak ciągłe na posiedzeniach dyskussye; udzielanie nauczającym i uczącym się pomocy o tyle, o ile potrzeba wymaga, a możność dozwala, zakładanie bibliotek, i czytelni ludowych, nakoniec wydawnictwo pisma celem rozpowszechnienia prac towarzystwa w duchu jego pisanych.

Wewnętrzne urządzenie towarzystwa jest następujące: Ogół przez kréskowanie wybiera co kilka miesięcy przewodniczącego, trzech radzców, sekretarza, bibliotekarza, i skarbnika: pierwszych pięciu stanowią radę towarzystwa, której czynnością jest utrzymywanie administracyi porządkowej i ekonomicznej, wykonywanie uchwał z gromadzenia, nadzór funduszów i czuwanie nad tem, aby zakłady towarzystwa odpowiadały celom i zamiarom jego.

Każdy kto przedstawiony przez jednego z członków, zyska przychylną opinją towarzystwa, lub za kim ten zaręczy, jeżeli jest obcym może być członkiem tow: byleby zobowiązał się w miarę zdolności pracować wszędzie i zawsze dla dobra ogółu, w duchu zasad dążeń i działań jego, oraz ulegać ustawom, uchwałom, poleceniom większością głosów wydanym. W stosunku możności swojej opłaca składkę miesięczną.

Pismo tow: redagowane przez osobną komissję zawiera w sobie część urzędową t. j. odezwy statuta, dyskussje, i naukową dla rozpraw, które tak od członków, jak od obcych przyjęte być mogą, jeżeli nie są treści polemicznej, a osobistej. Wychodzić winno przynajmniej co kwartał, w nieoznaczonej objętości.

Posiedzenia zwyczajne odbywają się co piątek wieczorem, nadzwyczajne w razie potrzeby, a publiczne co miesiąc.

Doktor.

Przez Autora Listopada.

Z Niebajek umieszczonych w Tygodniku Petersburskim.

U państwa Michałowskich kolej mówienia wypadła na pana Klonowicza, który tak zaczął: Państwo wiecie lub

nie wiecie, że chociaż jestem synem bardzo ubogich rodziców, bo mój ojciec był pisarzem na jednej stacyi pocztowej między Warszawą a Krakowem, a jednak za granicą byłem wychowany, jakby senatorskie dziecię. Moim protektorem był ksiądz Vitinghoff, na Litwie urodzony, ale potomek starożytnego rodu niemieckiego, który sięga pierwszych Ottonów. Wiadomo, że Betenkur, który panował nad wyspami kanaryjskiemi, był zrodziny Vitinghoffów, i że oni z Niemiec do Inflant przenieśli się z Krzyżakami. Owoż tedy mój protektor, kończąc uniwersytecką naukę w Heidelbergu, że poznał w sobie powołanie duchowne, wstąpił do seminarium w Speyer, i niespełna w dwóch latach, po swoim wstąpieniu, poświęcony został na kapłana, i umiał zaskarbić sobie szczególne względy księcia biskupa speyerskiego, który go zrobił kanonikiem gremialnym, z tem większą łatwością, że ksiądz Vitinghoff był szlachcicem niemieckim kapitolnym, mogącym złożyć trzydzieści dwa herby. Mało na tem, ale jemu powierzył rządy całego udzielnego księztwa, i tyle znalazł w nim zdatności, że nigdy nie miał powodu tego żałować.

Ksiądz Vitinghoff, wzbogacony kilku beneficyami duchownemi, wyjechał do Polski i Litwy, anno domini 1750, żeby nawiedzić swoich krewnych. Otoż powracając do Niemiec, przejeżdżał właśnie przez tę stacyą gdzie mój ojciec zawiadywał końmi i woźnicami pocztmeistra. Ja miałem wtedy lat ośm, umiałem pisać i czytać, ale rodzice nie mieli o czem mnie oddać do szkół, a że byłem rezolutnym i ładnym, wpadłem w oko księdzu Vitinghoffowi, i tak mu się podobałem, że powiedział moim rodzicom: oddajcie mi tego chłopca, a ja mu los zapewnię. Mój ojciec bardzo z tego pokazał się rad, moja matka trochę się temu opierała, bo nie miała dzieci, tylko mnie i siostrę, rokiem odemnie młodszą ale jak ksiądz zapewnił mojej siostrze trzysta złotych rocznie aż do jej za mąż pójścia, wszystko się ułatwiło, i opuściłem Polskę, jako paż księdza prałata, i trzeba było aż zaburzenia niesłychanego na świecie, żebym do niej powrócił.

Przybyłem do Speyeru, gdzie ksiądz prałat, zrobiwszy mnie swoim paziem, kazał mnie chodzić do szkół pierwotnych i gimnazialnych, i tak się trudnił mojem wychowaniem, że jeżeli nie wyszedłem na mędrca, to nie jego wina. On tak dalece się zagmyrał mojem wychowaniem, że utrzymywał w domu swoim sługę, naszego rodaka, jedynie żeby, jak powrócę ze szkoły do domu, ze mną rozmawiał ojczystą mową, żebym jej nie zapomniał, i temu winienem, że w ośmym roku opuściwszy Polskę, a w pięćdziesiątym drugim do niej powróciwszy, przecie nie złamałem języka.

Kończyłem retorykę w kollegium Jezuickiem Speyerskiem kiedy książe biskup skończył życie, a po jego śmierci kapituła obrała na jego miejsce mojego pana, na co wkrótce otrzymał potwierdzenie cesarza i ojca świętego. Książe biskup Vitinghoff był rzadkim człowiekiem, i do niego właściwiej nie można było zastósować przysłowia niemieckiego, *unter Krumstabe ist gut zu leben*. Podatki i tak nie wielkie jeszcze zmniejszył, wojsko księstwa, które składało się z jednego batalionu piechoty i jednego szwadronu jazdy z pięciuset głów złożone, zredukował na trzysta, a liczbę oficerów pomnożył żeby dać sposób do życia ubogiej szlachcie; lubił uczonych może zanadto, bo korrespondował ze wszystkimi prawie encyklopedystami, i dla zachowania z nimi stosunków, mianował księdza Voisenon swoim posłem rezydującym przy dworze Wersalskim.

Jeszcze szkół nie byłem skończył, kiedy otrzymałem z jego łaski patent na porucznika w jego wojsku, i omal nie cały rok siedziałem w ławie studenckiej w mundurze oficerskim, a kiedy mi się zaczynał rok siedmnasty, opuściłem szkoły, żeby w batalionie układać się do rzemiosła rycerskiego. W ciągu roku wyuczyłem się szkoły plutonu i batalionu, że ją lepiej rozumiałem niż mój szef stary baron, a razem koniuszy księcia biskupa, więcej zajmujący się dworszczyzną niż swoim batalionem. A mój pan, widząc że mam powołanie żołnierskie, chcąc mnie otworzyć obszerniejsze pole do tego zawodu, wyrobił u Elektora Falcgrabi, że mię umieścił w wojsku swojem w tym samym stopniu, jaki miałem w wojsku biskupa; i tak służąc lat siedm w pułku strzelców księcia Salm Kirchburg, dosłużyłem się rangi kapitana. Pozyskałem był osobliwe względy mojego dowódzcy, tak dalece, że kiedy on przeszedł w służbę króla francuzkiego, i dla niego sztyftował pułk piechoty, o mnie nie zapomniał. Formowaliśmy się w Speyerze i wyszliśmy do Francji, książe Salm pułkownikiem, a ja trzecim kapitanem w jego pułku. Jeszcze to wtedy książe biskup, którego ostatni raz widziałem, wyprawiając mnie do Francji, dał mnie dwieście luidorów. Ale to całą moją historyą opowiadam niechcący, i zapominam, że trzeba poprzestać na jednem tylko wydarzeniu.

Kiedy byłem sługą Falcgrabi, jako porucznik strzelców księcia Salm Kirchburg, staliśmy w Heidelbergu, mieście dużem, przyjemnym, a słynącem swoim uniwersyterem ugęszczanym od młodzieży całej Europy, bo nawet kilku paniczów polskich w nim zastałem. Otóż od kilku lat był w nim osiadł niejaki Szajbenhowen, człowiek wielce uczony, ale którego żywot był zagadkowy. Był rodem z okolic Manheimu, i w młodości swojej chodził na nauki w uniwersytecie Heidelberskim, gdzie nawet był otrzymał stopień akademicki. Poczem opuścił Heidelberg, i przez trzydzieści kilka lat nikt nie wiedział gdzie się obracał, a wrócił mając już blisko lat sześćdziesiąt. Rozmaite o nim krążyły wieści, — jedni utrzymywali, że posiadł sekret robienia karminu, co było dla niego źródłem niewyczerpanem dochodów, — drudzy, że robił tajemne sprężyny do zegarków inni, że umiał fałszować złotą monetę, — byli tacy nawet

co twierdzili, że zapisał się diabłowi, który jemu do czasu dostarczał pieniędzy na wszystkie jego potrzeby.

To pewna, że na rok tracił przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy guldenów, a nikt pojąć niemógł zkąd je dostawał. Kupił był sobie kamieniczkę w miescie i kawałek ziemi za miastem, gdzie urządził dla siebie ogród i domek wiejski, ale to były cacka, tak w nich wszystko było gustowne i kosztowne. Żeby dać wyobrażenie jak dalece nie oglądał się na wydatki, powiem, że z wielkim kosztem stare dęby zimową porą przesadzał do swojego ogrodu, że ledwo dziesiąty się przyjmował, a on co rok to powtarzał, a że był bardzo miłosiernym dla ubogich, roku 1766, kiedy nastała ta niesłychana zima, że Ren stanął, tak że mozna było armaty przez niego przeprowadzać, on nie dość że ubogim dawał pieniądze na drwa, ale nawet kilka swoich dębów, które z tak wielkim kosztem się przyjęły, poświęcił i pozwolił wyrąbać.

W zimie mieszkał w kamienicy, latem w swoim domku wiejskim, i codzień miał u siebie dziesiątek osób na obiedzie, zwłaszcza ubogich studentów którym, oprócz gościnności, gotowym groszem dopomógł. To też studenci tak go miłowali, że za niego zabić by się dali. Co roku udawał się do Lipska na jarmark, ale zawsze piechotą, po co tam ruszał tego nikt nie wiedział. Wszakże razu jednego z tych podróży wywiązało się ciekawe wydarzenie; powracając z Lipska, zawsze piechotą, był napadnięty już blisko Heidelberga przez hultajów, ci, trzęsąc go, znaleźli trzos, którym się opasywał, a w nim trzysta luidorów, które naturalnie zabrali, a jego samego z duszą puścili. Szeibenhowen wrócił do Heidelberga i nigdzie skargi o to nie czynił. Trzeba było takiego zdarzenia, że w kilka godzin po tym wypadku, ci sami hultaje wpadli w ręce Lancdragonów Falcgrabi, którzy ich zawieźli do Heidelberga, ale dobrze powiązanych. Kiedy ich sądowie badac zaczęto, znaleziono u nich trzos z pieniędzmi, a na trzosie było wyszyte imie i nazwisko Szajbenhowena. Z resztą na inkwizycjach ci złodzieje tak dokładnie opisali tego którego złupili, że nie można było nie poznać Szajbenhowena. Do niego więc sprawiedliwość się udała z zapytaniem, czy był napadnięty, on z początku do tego nie chciał się przyznawać, aż sami złodzieje, na naocznych stawkach, gdy w jego przytomności wyznali, że on od nich złupionym został, dopiero on to i swojem oświadczeniem wyraźnie stwierdził, a kiedy jemu wrócono trzysta luidorów, on, że miał je za stracone, nie chciał z nich korzystać, i z nich założył dwie burs dla pauprów uniwersyteckich.

Policja suszyła sobie naprózno głowę, żeby się domacać do źródła jego przychodów, a tu nikt o niczem niewiedział, a że nic ją tyle nie obraża jak kiedy człowiek, niestojący na wyższym szczeblu hiararchji towarzyskiej, tak się prowadzi, że nie ma potrzeby zaskarbiać dla siebie jej łaski, a więc niezmordowanie wzięła się do tego, żeby wynaleść jakiś sposób wykrojenia jemu kurty. I w samej rzeczy, wkrótce traf podał jej okoliczność przyjazną, by jego prześladować.

Trzeba wiedzieć, że Szajbenhowen był wielkim lekarzem i nadzwyczajnemi kuracjami słynął. Ja sam poznałem się z nim, dla szukania ratunku na kalectwo, które mnie zagrażało. Miałem na lewej nodze, wyżej kolana, rozszerzenie żył, kiedy ją pokazałem naszemu regimentowemu felczerowi, on mnie powiedział, że trzeba te żyły wyrznąć, że to jest operacja wielce bolesna, ale że przynajmniej będę uwolniony od bojaźni mieć ją pękniętą, z czego to może nastąpić, że cała krew ujdzie, poczem śmierć. Do różnych praktykantów i profesorów medecyny i chirurgji udawałem się, a każdy z nich mniej więcej to samo powiedział. Takiego klina mnie zabili w głowę, że rady dać sobie nie mogłem, ciągle zdawało mi się, że już żyła pęka, a operacji obawiałem się jak ognia. Otóż jeden mój rodak, niejaki Hannasz, syn królewskiego jubilera w Warszawie, który chodził w Heidelbergu na uniwesytet, a dziś jeszcze zyje w Petersburgu, gdzie jest pierwszym jubilerem wyprowadził mnie z kłopotu. Raz będąc u mnie, kiedy mu się skarzyłem na rozszerzenie żył, i że mnie lekarze tyle tylko pomogli, że się od nich nauczyłem, iż ta niemoc nazywa się po uczonemu *Varix*, on mnie na to: a dla czego Waćpan nie udajesz się do Szajbenhowena, on pewnie na to poradzi. Słyszałem o nim, i widywałem go zdaleka, bo miałem kwaterę na tejże samej co on ulicy, ale go nie znałem. Ale Hannasz, który był u niego jak domownikiem oświadczył mi, że jeżeli pozwolę, natychmiast mnie do niego zaprowadzi i że będę z jego znajomośći bardzo rad.

On wtedy to mieszkał w swoim domku wiejskim, o dobry wystrzał karabinowy od wielkiej bramy. Jako na pierwszą wizytę ubrałem się w paradnym mundurze, i, wziąwszy po pod ręce Hannasza, poszedłem przez miasto za bramę. Stanęliśmy w domku filozofa; rządczyni domu, powolna staruszka, powiedziała nam, że go znajdziemy w ogrodzie, Hannasz mnie tam zaprowadził, i zastaliśmy go własną ręką oczkującego róże. Stary był czerstwy, dziarski, wesoły i rubikund, chociaż bardzo był wstrzemięźliwy w napoju. Kiedy mnie mój towarzysz jemu przedstawił, bardzo uprzejmie mnie powitał, mówił o moim kraju nader chlubnie, kilka nazwisk naszych wymienił, dodając: w Polsce parę lat przesiedziałem, i znalazłem w niej wiele serc czułych i szlachetnych. Poczem poczęstował nas podwieczorkiem, wyborne jedliśmy kurczęta, a popijaliśmy je winem elektoralnem, ale jakiem, aż ślinka idzie do gęby na jego wspomnienie, a nadewszystko, miłą swoją rozmową uprzyjemniał te wiejskie gody.

Nakoniec ośmieliłem się mówić mu o moim defekcie. On mnie wziął na osobność, kazał pokazać sobie żyłę, z

uwagą ją rozpatrzył, poczém z swojej apteczki wyjął jakąś maść, rozlarł ją na zamszowej skórce, i sam ją przyłożył, mówiąc: nie ruszaj tego plastra, a czekaj aż sam odpadnie, a jeżeli jaki ślad defektu pozostanie, do mnie się udaj znowu, a proszę bywać u mnie, zawsze mu będę rad. Cóż państwo powiecie, nosiłem ten plaster kilkanaście dni a kiedy odpadł, ciało tak było gładkie, że domyśleć się nie można było, żem miał kiedykolwiek rozszerzenie żył. Z tego powodu odtąd często u niego bywałem, a że żadnej nadgrody od nikogo nie przyjmował, odwdzięczyłem się jemu wraz z innymi od niego udobrodziejstwowanymi, roznosząc wszędzie jego sławę. I nie omieszkałem tę moją kurację opowiedzieć księciu Salm, mojemu dowódzcy, który z tego, jakoż i z innych dziwniejszych jeszcze praktyk, uczynił relacją księciu Falcgrabi, naszemu wówczas Panu.

Łatwo pojąć można, że ta sława Szajbenhowena była solą w oku dla wszystkich medyków Heidelberskich. Pobudzeni zawiścią, znieśli się ze zwierzchnością policyjną żeby jego turbować. I wzięli za asumpt, iż nie będąc doktoryzowanym lekarzem, waży się ludzi leczyć. Zabroniono mu dawać rady ludziom cierpiącym, i tak zaczęto jego prześladować, że już zabierał się opuścić Heidelberg i swoją miłą myzę, żeby gdzie indziej pomagać ludzkości.

Właśnie wtenczas zjechał książe elektor Falcgrabia do Heidelberga, bo co jesień w jakiemś innem mieście popisy wojskowe zaszczycał swoją przytomnością. Był to pan małomowny, uczony, sprawiedliwy, miłujący swoich poddanych, i nawzajem od nich miłowanym. Od niejakiego czasu zdawał się być pogrążonym w smutku, co przypisywano temu, że nie miał dzieci, i że przewidywał, iż po jego śmierci o jego sukcessją kłócić się będą, jakoż i druga dzielnica jego domu, panująca w Bawarji, także wygasała w osobie panującego elektora, tak, że dziwnem rozrządzeniem opatrzności oba elektorstwa miały spaść na ubogiego księcia bipontyńskiego Maxa, z którym służyłem w wojsku francuzkiem, gdzie był pułkownikiem, dowódzcą pułku Royal Alsace, wielce wesołym, wielce umizgalskim od wszystkich swoich oficerów wielce kochanym, a czego się nigdy nie mógł spodziewać, jest teraz królem Bawarskim.

Elektor Falcgrabia tak był zadowolniony naszymi strzelcami, że dał obiad dla korpusu oficerów. Siedzieliśmy z nim razem za jego pańskim stołem. A byłem już wtedy kapitanem, i jakem się później o tem dowiedział, książe Salm bardzo zaszczytnie mnie wystawił przed elektorem. U stołu między innem zaczęto mówić o dziwnych kuracjach Szajbenhowena, książe Salm wspomniał i o mojej. Elektor zażądał żebym ją opowiedział z najdrobniejszemi szczegółami. A trzeba wiedzieć, że elektor od lat kilku cierpiał ból oczów, w czem jego lekarze nadworni żadnej ulgi jemu nie umieli zrobić. Elektor, wysłuchawszy mojej i wielu innych relacji o jego cudach medycznych, odezwał się, jeżeli on mnie pomoże na moje oczy, ozłocę go, a ja nie mogłem się wstrzymać i powiedziałem: najjaśniejszy panie niezawodnie pomoże, jeżeli mu wasza elektoralna wysokość to pozwolisz, bo tutejsze władze, dogadzając urzędowym lekarzom, nie pozwalają mu udzielać rad swoich tym, co się po nie udają do niego. Na to Falcgrabia rzekł do mnie: gdy widzę, że Wpan go znasz tak dobrze, i jesteś jemu obowiązany, więc dziś jeszcze oświadcz mu odemnie, że chcę, by jutro się do mnie stawił o ósmej z rana, i sam go mnie przedstawisz.

Po obiedzie, pierwsza rzecz co uczyniłem, oto że się do jego domu wiejskiego udałem, bo że jesień była piękna, do miasta jeszcze się nie był przeniósł. Oświadczyłem mu żądanie naszego pana, i nazajutrz, o umówionej godzinie, miałem szczęście wprowadzić go na posłuchanie książęce. Rozmawiali z sobą czas jakiś w mojej przytomności, poczem Falcgrabia wziął jego do swojego gabinetu, gdzie sam na sam z nim rozmawiał około godziny. A wracając do sali, gdzieśmy byli zebrani, powiedział mu: więc dziś, o szóstej po południu, będę u Wpana na podwieczorku, a Wpan, dodał obracając się do mnie, mnie do pana Szajbenhowena zaprowadzisz.

Jakoż tego samego dnia, Falcgrabia z swoim generał-adjutantem siadł do karjolki, a ja konno assystowałem dla przeprowadzenia jego elektorskiej wysokości, a za nami jechali w karetach dworskich inni goście, należący do dworu, a między niemi rektor akademji Heidelberskiej, któremu Falcgrabia kazał być na tym podwieczorku. Kiedyśmy zajechali, przed domem wiejskim zastaliśmy Szajbenhowena który drzwi od karjolki otworzył, i ukléknąwszy przed naszym panem, podziękował mu za zaszczyt jego domkowi uczyniony.

Falcgrabiemu wielce się podobało wszystko co u Szajbenhowena widział, bo i dóm i ogród przeglądał, a szczególnie mu się podobały, zbiór farfurów Japońskich, który ozdabiał jego salon, obraz szkoły włoskiej, wiszący nad jego łóżkiem a który wyrażał Ś. Jana Chrzciciela, i kollekcja najzupełniejsza wszystkich motylów, jakie się tylko znajdują na kuli ziemskiej, były między niemi takie, co ich żaden naturalista dotąd nie był opisał. A wkrótce potem on z tej kollekcji zrobił ofiarę Akademji Heidelberskiej, na pamiątkę, że w niej kiedyś sam czerpał nauki. Poczem był suty podwieczorek, i chociaż to było we Wrześniu ogromny półmisek szparagów pokazał się na stole. To było ulubione jadło Falcgrabi, ale niemało go zadziwiło, że w tak spóźnionej porze mógł mieć szparagi w podobnej obfitości.

Po skończonym podwieczorku, kiedy Falcgrabia już się zabierał wracać do miasta, przypomniał sobie dopiero, po co przyjechał do niego, i rzekł mu: a lekarstwo na moje oczy? — Już go wasza Elektorska wysokość zażyła, od-

powiedział Szeibenhowen. — A to jakim sposobem? — Nie inaczej, najjaśniejszy Panie! wasza wysokość już jest zupełnie wyleczona, i głowę położę na rusztowaniu, jeżeli odtąd mój pan będzie cierpiał na oczy. W samejrzeczy nikt nie spostrzegł co mu dał i kiedy to dał, a jednak Falcgrabia przestał zapadać na niemoc, która od kilku lat go trapiła, jak ręką mu ją odjął. Falcgrabia żegnając go, powiedział głośno: ja na to nie pozwolę, byś jakąkolwiek ze strony władz tutejszych miał znosić przykrość, a gdybyś ją doświadczył, proszę to napisać w prost do mnie, a ja temu potrafię zaradzić. Niedość na tem, ale po upłynieniu niespełna pół roku, przysłał mu przywilej na urząd radzcy dworu, i na swój order złotego Lwa, z najzaszczytniejszym reskryptem.

Jednak to pewna, że źródło, dostarczające na wydatki jego życia, i nieograniczonej dobroczynności, było pokryte niedocieczoną tajemnicą. Nie było śladu żeby zkąd odbierał pieniądze, a jednak miał ich zawsze podostatkiem. Jednego razu będąc u niego z Hannaszem, kiedy się zgadało o klejnotach, jakie Falcgrabia miał w swoim skarbcu, a Hannasz, będąc sam jubilerem, dowodził, ze nie tylko jego, ale żadnego mocarza wytrzymać nie mogą porównania z temi, które Elektor saski posiada w swoich Grüne Gewelbach, Szajbenhowen się rozśmiał, i powiedział: panie Hannasz, jesteś jubilerem, otoż jak ci pokażę jeden mój klejnot, sam przyznasz że on wart wiącej, niż wszystkie klejnoty Falcgrabi i Elektora saskiego połączone. To rzekłszy, otworzył szufladę jednej swojej komody, i wyjął z niej brylant wielkości talerza. Jak go Hannasz obaczył, tak się zadziwił, że omal się nię przeżegnał. Oczom swoim nie wierzył, a dobył z kieszeni pilniczek, żeby sprobować czy to jest brylant prawdziwy, czy naśladowanie — I cóż na to powiesz, panie Hannasz, odezwał się Szajbenhowen, czy to jest szkło, czy dyament? a jeżeli dyament, jaka być może jego wartość? — Wiem odrzekł Hannasz, że natura nigdy podobnej bryły dyamentu nie utworzyła, wszakże jako jubiler zaprzeczyć nie mogę, że wszystkie cechy prawdziwego dyamentu okazuje na sobie, a co się tyczy jego ceny, taxując wedle prawideł jubilerowskich w stosunku karatów, które waży, powiem tylko, że wszystkie skarby świata, jego wartości nie mogłyby sprostać. Wyznaję, że jeszcze nie mogę przyjść dosiebie z zadziwienia, jakie na mnie sprawił widok tego cudu. — Otoż odpowiedział Szajbenhowen, ten nadzwyczajny brylant będzie figurował na moim pogrzebie. Póżniej z nim się nie krył, i w Heidelbergu kilkadziesiąt osób widziało ten dziwny wytwór natury, czyli niedocieczonego kunsztu.

Wkrótce potem, przeszedłszy w służbę chrzescijańskiego króla, pożegnałem Szajbenhowena i moich innych przyjaciół Heidelberskich. Jeszcze przy pożegnaniu dał mnie na pamiątkę kieszunkowy zegarek, który dotąd zachowuję, oto go państwo widzicie, wcale nie pokaźny, ale mam go od lat blizko pięćdziesięciu, i ciągle go noszę przy sobie, a nigdy niebył u zegarmistrza. W ciągu służby mojej francuzkiej, obchodząc Francją na wszystkie strony, wojażując w Ameryce pod dowództwem generała Roszambo, naczelnika posiłkowych wojsk, które Ludwik XVI. na swoją biedę posłał Washingtonowi, — bo tam oficerowie zaczęli się bałamucić do tego stopnia, że później przełożyli jakieś marzenia mieszczańskie i piśmidlarskie nad honor szlachecki i oficerski, — naturalnie z głowy mnie wyszły, i Szajbenhowen i moje zabawy Heidelberskie. Ale kiedy na rozkaz brata króla, któremu na wierność przysiągłem, a który już był w swoim pałacu więźniem dworaków motłochu, emigrowałem do Koblentzu, otoż przypomniałem sobie Heidelberg, i umyślnie do niego pojechałem, bo jak wiadomo, on nie daleko Koblentzu leży. Tam od tych zestarzałych znajomych, co ich jeszcze żyjących zastałem, zasięgałem wiadomości o Szajbenhowenie. Już on od lat dwudziestu nie żył. Mówiono mi że, na kilka niedziel przed śmiercią, zrobił donacją swojej kamienicy i domu wiejskiego swojej starej rządczyni, że po krótkiej chorobie, w przeciągu jakiej żadnego lekarza nie wezwał, zasnął snem wiecznym, nie zrobiwszy rozporządzenia. Zresztą nie było tak dalece czém rozporządzać. Dom i myza już były własnością jego rządczyni, a zresztą nie znaleziono po nim, tylko kilkadziesiąt guldenów i nieco sprzrętów niewielkiej wartości, wyjąwszy zbioru farfurów Japońskich. To wszystko sprzedane zostało przez licytacją i posłużyło do opędzenia wydatków okazałego pogrzebu. A tego nadzwyczajnego brylantu, który miał figurować na jego pogrzebie, śladu nie pozostało. Oto moi państwo, cała historja, do której nic nie dodałem, a którą gotów będę powtarzać na śmiertelnej pościeli.

Korrespondencja literacka.

Z Krakowa. Dziwisz się zapewne redaktorze że z naszego Krakowa już od tak dawna nie dochodzi cię żadna wiadomość z naukowego i literackiego pola. Oczekiwanie twoje acz słuszne nie powinno cię jednak gorszyć, jakoby u nas przy najmniej obecnie sprzyjających okolicznościach ruch umysłowy zamarł — i owszem przy wielu zewnętrznych przeszkodach, braku materyalnych środków, zdrój ducha narodowego i objawu umysłowego chociaż nie wystrzela siłą w górę, nieprzestaje jednakże równo a powoli płynąć. Mamy pięć drukarni i chociaż nie zupełnie czynnych, to przecież niebezczynnych. Jednę z nich właściciel od roku rozebrał, ułożył wygodnie w paki a zatem skazał na wieczyste uśpienie, sądząc że mu więcej uszczerbku w jego finansowych obrotach przyniosła niż zysku. Drugą noszącą za godło Sowę, władze skazały na bardzo długi wypoczynek opieczętowawszy szczelnie jej prassy. Drukar-

nia p. Gieszkowskiego od jakiegoś czasu nieczynna obecnie przez wydawnictwo ksiąg katolickich ożywioną została, dokąd zakład przeniósł swoje zatrudnienie po zamknięciu drukarni pod Sową. Drukują się w niej: *Historya Kalwaryi Zebrzydowskiej* przez I. Ł. a w instytucie technicznym wykończają do niej pięć ozdobnych litografji. — *Żywot ks. Skargi i jego wiek,* przez I. M. Rychcickiego (Maurycego hr. Dzieduszyckiego) w dwóch tomach. W drukarni p. Czecha odbija się z pośpiechem kalendarz na r. 1851. z obawy ażali rok 1850 nie przyspieszy swego biegu i nie stanie o pięć miesięcy wcześniej u kresu jaki mu urzędowy astronom ś. p. Franciszek Xaw. Ryszkowski w swym rękopisie zakreślił, a trzeba ci wiedzieć redaktorze, że kalendarz według przyjętego systemu powinien już z dniem 1. Grudnia być w ręku wszystkich jego lubowników. Przytem uskutecznia się tu trzecie czy czwarte wydanie z porządku dziełka Silvo Pellico: *O powinnościach człowieka.* Do najczynniejszych zatem liczą się drukarnie Czasu i Uniwersytecka. Pierwsza zajęta *Czasem* i jego satelitami: Dodatkiem literackim, dodatkiem prawniczym. a od 1. Lipca jeszcze jednym więcej: Dodatkiem rolniczo-przemysłowym. Gdy bowiem towarzystwo gospodarcze krakowskie po długich zachodach i krzątaninie nie znalazło w sobie tyle sił aby stworzyć własne pismo, redakcja *Czasu* wzięła na siebie obywatelską usługę zastępować jego organ przez wydawanie dodatku raz na miesiąc. Nadto zatrudnia się ta drukarnia odbijaniem: *Historyi b. Reczypospolitej Krakowskiej przez* Hi. M. — *Odpowiedzią na uwagi p.* I. M. *nad posagiem uniwersytetu Jagiellońskiego,* i innemi drobniejszemi robotami. — Drukarnia uniwersytecka oprócz druków rządowych i innych pomniejszych, odbija na ukończeniu będący tom 8. *Historyi literatury polskiej* M. Wiszniewskiego. — *Matematykę elementarną* prof. Steczkowskiego. — *Rocznik towarzystwa naukowego* i t. d.

Z dzieł większych, wyższego znaczenia i wartości ściśle naukowej od paru miesięcy żadne się nie ukazało, z drobniejszych kilka.

W drukarni I. Czecha wytłoczono: *Wpływ kobiet na nasze uczucia. Obrazek z życia* przez I. Ł.

W drukarni uniwersytetu wydział rozszerzenia oświaty ludowej w towarzystwie naukow: wydał drugi tomik *Nauk dla ludu;* pod napisem: *Zbiór wierszy ku nauce i zabawie ludu.*

Opisanie najużywańszych roślin lekarskich pod względem ich podobieństwa i różnic z rycinami 115 roślin objaśniającemi, w drukarni uniwersyteckiej w 4to.

Nakładctwo dzieł katolickich wydało: *Czytania świąteczne dla ludu naszego* przez X. K. Antoniewicza w 8ce.

Wyszło także: *Drugie zdanie sprawy z czynności komitetu ochron od 1. Lipca 1848, do ostatniego Grudnia 1849 r.*

Drukarnia pod Sową, wydała nowy przedruk znanej powieści J. U. Niemcewicza: *Dwaj Sieciechowie.*

Z drukarni Czasu wyszły: *dwa obrazki dramatyczne* przez Ludwikę hr. Ossolińską, z których dochód przeznaczony na korzyść ubogich.

Sprostowanie.

Przyrzeczone w przeszłym numerze dokończenie artykułu *o Malarzach* będziemy dopiero później mogli udzielić w osobnym artykule; prosimy przeto co dotychczas umieszczono uważać za skończone.

W ogłoszeniu literackiem tyczącym się dzwonów w poprzednim Nr. Tygodnika opuszczono przez omyłkę podpis p. *Józefa Łepkowskiego,* od którego owo wezwanie pochodzi.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.